

# Bezpłatny dodatek dla Czytelników ABC

ZYGMUNT JURKOWSKI (JUR)

## KSIEŻYCOWE INTERESY

powieść

### Rozdział 1.

#### GAWĘDA Z RZECZYWISTOŚCIĄ

Na szczycie góry, której trudnoby szukać w geografii, oświetlona blaskiem jakiejś nieistniejącej planety, stoi sobie dawno już zmarła ciotka Kamila. Paweł wypatrzył ją zdaleka i pędzi do niej naprzeciw, przez skały, rzeki i wąwozy. Dawno nie widział ciotki Kamili. Tymczasem wyrosła jej czarna broda, którą pocziwa ciotunia ufryzowała sobie z asyryjską w łoputę. Pawła nie dziwi to bynajmniej, przeciwnie, właśnie poznał ją po brodzie i już ma ochotę krzyknąć — Dzień dobry cioci! — gdy nagle spostrzega na jej głowie strażacki helm. Tknięty złem przecuciem staje w pół kroku. Nie pamięta, czy ciotka służyła kiedykolwiek w straży ogniowej i w obawie, że zaszła tu jakaś pomyłka, nie waży się podejść bliżej.

Ta chwila niepewności okazuje się zbawienną, bo oto nagle rozlega się potężny huk i góra, na której tkwili oboje, zamienia się w wulkan. Pod stopami ciotki otwiera się czeluść, w którą ta wpada niby Mefisto pod scenę. Z krateru bucha lawa. Paweł słyszy już chrzęst sunącej, rozżarzonej masy. Ogarnięty piekielnym strachem, czyni nadludzkie wysiłki, aby ruszyć się z miejsca. Nie udaje mu się to jednak, lawa ścina go z nóg i pogrąża w czerwonej, gorejącej otchłani.

I oto rzecz dziwna, Paweł nie czuje żadnego bólu. Okazuje się, że ogień wcale nie parzy, przeciwnie, wtopiony w rozpaloną masę, czuje się zupełnie bezpiecznie. Leży sobie spokojnie, niby w miękkiej pościeli o niczem nie myśląc i niczego nie pragnąc.

Chwila błogiego ukojenia trwa niestety krótko, bo oto nagle wzwiera się, niby świder, do mózgu pierwsze doznanie.

— Obudziłem się, no całe szczęście!...

Wśląd za nim spieszą następne sygnały, niby gwałtownie pilne telefony.

— Hallo! tu mówi pańskie „Pocucie rzeczywistości”. Z tą ciotką to były żarty. Spał pan poprostu, ciężkim, pijackim snem po wczorajszej bibie. — W obawie, że będzie się pan nudził, producenci snów nadesłali panu z zaświatów, ten właśnie scenarzysta z ciotką Kamilią w roli głównej, — niezłe, co? Ssensu tam było niewiele, ale za to co za ekspresja? Spościł się pan zapewne z wrażenia, teraz przynajmniej cieszy się pan, że żyje. To było tylko tak „na niby”, ale sen się już skończył, za chwilę rozpoczniemy nadawanie rzeczywistości.

W ciągu paru sekund Paweł zostaje poinformowany o rzeczach następujących: że nazywa się Popielec, że mieszka na ulicy N. i leży u siebie w łóżku, obudzony z przykrego snu.

Po owych wstępnych danych, niezbędnych do rozpoczęcia życia na jawie, odzywa się w słuchawce jak zwykle, głos „buchaltera samopoczucia”.

— Hallo! tu ja, buchalter, uszanowanie. No cóż, to samo co wczoraj.

Przepił pan wszystkie pieniądze, długi rosną, komorne niezapłacone, jutro pewnie wyłącza telefon... Same minusy, rubryka „ma”, jest śmiesznie niską przy rubryce „winien”. Wygląda jak mała ruderka przy drapaczu Chryslera. Słowem lekceważy pan wielce swoją dość sympatyczną osobę.

O jednym mogę pana zapewnić: że bez względu na to jak będzie się panu wiodło, ja buchalter pańskiego samopoczucia, będę się zgłaszał do pana co rano, izby pana poinformować jak się pan właściwie ma czuć. W tym względzie może pan na mnie liczyć, będę tak ścisły, jak pańskie sumienie. W ciągu dnia dzisiejszego powinien się pan czuć podle.

— A więc do jutra — uszanowanie!

Paweł otworzył oczy, lecz pod naporem światła zmrużył je natychmiast.

Migawka spojrzenia była tak szybka, że oko nie zdołało utrwalic żadnego szczegółu, ujęło zaledwie ogólny widok ścian, okien i mebli. Wystarczyło to jednak, by zauważyć, że w polu widzenia znajduje się jakiś obcy przedmiot, coś, czego przedtem nie było i do czego wzrok nie zdążył się przyzwyczaić. Mieszczący się w mózgu „Wydział bezpieczeństwa” zaalarmował natychmiast „Główny wydział woli”.

— Uwaga! W pańskim mieszkaniu znajduje się coś obcego, radzimy spojrzeć!

Paweł otworzył szeroko oczy i ujrzał tuż za krawędzią łóżka kosmyk wystających włosów; gdy uniósł „wienka” głowę, dostrzegł zarzą policzka.

— Ktoś leży na podłodze! — ostrzegał „Wydział bezpieczeństwa”. Wiadomość była tak niespodziewana, że wszystkie, nawet najbardziej sennie centra mózgowe, zostały w jednej chwili uruchomione. Frunęły zapytania, pokrzyżowały się odpowiedzi. Paweł z głową wzniesioną nieco nad poduszki, wsłuchiwał się w gorączkową pracę swego mózgu. Czekał na odpowiedź — nadeszła wkrótce z działu informacji.

Nie możemy ustalić skąd wzięła się w pańskim pokoju nieznana dotychczas osoba. Wydział pamięci, do którego dzwoniłmy z zapytaniem, nie odpowiada. Olbrzymie masy wypitego przez pana alkoholu, pozalewały kable, przerywając tem samem łączność z innymi centrami. Radzimy zwrócić się osobiście do „Działu przypuszczeń wniosków i hipotez”.

Stamtąd nadeszła wkrótce niepozabawiona podstaw koncepcja: „Przypuszczamy, że ubiegłej nocy, szanowny pan znajduje się w stanie zupełnej niepoczytalności, przyprowadził kogoś (względnie on pana), do swego domu. Wygląd, ani też pleć owej osoby, nie jest nam wiadoma. Wnioskując z pańskich zainteresowań, przypuszczamy, że jest to kobieta”.

Paweł z bijącym sercem począł wsłuchiwać się w oddech leżącą na podłodze istoty — był ledwie dosłyszalny, co wskazywałoby na to, że nie śpi. Nie wyjaśniało to jednak sprawy i Paweł leżąc bez ruchu, nie wiedział co dalej począć.

Niepewność tej sytuacji została przerwana w sposób nieoczekiwany. Ni stąd, nie zowad zebrało mu się na kichnięcie. Przez chwilę hamował ten niemity odruch, krzywiąc się i poruszając nozdrzami; mimo to, kichnął potężnie raz, drugi i trzeci. Leżąca postać poruszyła się niespokojnie i odwróciła do niego twarzą. Paweł spojrział na nią i zdębiał. Spoza krawędzi łóżka wyjrzał jakiś zupełnie mu obcy i rozczołowany łeb, podstarzałego jegomościa. Patrząc na Pawła otepiały wzrokiem, trwał dłuższą chwilę w beznamiętnej niewiedzy. Wreszcie w jego baranieniu spojrzeniu zamigotały błyski świadomości. Odchrząknął pijacką chrypką i rozejrzał się dookoła.

— Hm, dobre sobie... — mruknął. Paweł spoglądał na niego z zakłopotaniem, czując, że jego wygląd jest równie głupi i śmieszny. Dla uzyskania pewności siebie, odgarnął buńczucznym ruchem spadające na czoło włosy. Z trudem wykrztusił pytanie:

— Co pan tu robi?

— Ja?... — bąknął niepewnie jegomość, wytrzeszczając gąły.

— No tak, pan.

— Wybaczysz pan... — ale ja doprawdy nie wiem, gdzie jestem.

— U mnie...

— A kto pan jest?

— Może pan pierwszy zechce się przedstawić i wytłumaczyć mi, skąd pan się wziął pod moim łóżkiem?

Intruz rozejrzał się raz jeszcze dookoła, uśmiechnął się niepewnie i rzekł:

— Myśmę się pewnie poznali w jakiejś knajpie...

— Nie wiem, ja widzę pana po raz pierwszy.

— I ja pana także pierwszy raz widzę.

— No tak, ale wyspał się pan w moim pokoju a zatem przyzwyczaję się do pana i powiem ci, kim pan jest.

Jegomość bez słowa odpowiedzi, podniósł się z podłogi.

Teraz dopiero, Paweł dostrzegł na jego leżwiach swoje własne, pyjamowe spodnie. Resztę stroju dopełniał wyciągnięty psu z gardła frak i nielitościwie zmięta koszula z nadszarpniętym gorsem.

— Pozwoli pan, że się przedtem ubiorę — odburknął gniewnie intruz i począł się rozglądać za garderobą. Paweł zdecydował się również na ubieranie.

— Niewiadomo co się jeszcze wydarzy — myślał — a człowiek nagi staje się bezsilny, jak niegdyś Samson, pozbawiony włosów.

Sprężysto wyskoczył z łóżka i przyjrzał się swoim dolnym połacom, że zdziwieniem spostrzegł, że ma na nogach spodnie obcego pana. Dopełniając się wzajemnie częściami swoich ubiorów stanowili kolorystycznie pozytyw i negatyw, ponadto Paweł wyczuł na swojej lewej stopie djabelnie piekący i bynajmniej nie jego własny lakier. Zbadałszy te błędy niepoczytalności, począł się uwalniać od obcych składników garderoby, czemu tamten przyglądał się chmurnie i spodełba.

Nie mówiąc do siebie ani słowa, ubierali się prędko, na wysięgi, szukając pogubionych szczegółów męskiej konfekcji. Zaglądali naprzemian pod szafę, wypatrując błyszczących spinek od mankietów, wspólnymi siłami odsuwali komodę w nadziei znalezienia pod nią skarpetki, dźwigali sapiąc bielizniarkę, pod którą sprytnie ukrył się kolnierzyk.

Wreszcie po długim szamotaniu się, otrząsaniu, myciu i czesaniu, obaj panowie przejrzały się w lustrze, uznali, że ich wygląd został doprowadzony do ładu. W chwili, gdy nieznanemu panu, poślinionym palcem usiłował przyglądać odstającego na głowie kogutka, Paweł ponowił swoje żądanie:

— Przypominam panu, że powinien się pan przedstawić.

Tamten nie odczekawszy się słowem, stał spokojnie przed lustrem, muskając szczerzący szpakowaty wąsik. Przyjrzał się sobie z prawa i z lewa, stary elegant odstąpił od lustra i schylił się po leżące na podłodze futro. Przywdziałszy je, wstrząsnął bobrowym kolnierzem dla wyrównania zmierzwionego włosia i dopełniwszy stroju, włożonym z gracją melonikiem, bez słowa skierował się do drzwi. Trzymając rękę na kłame, przystanął chwilę i zwrócił się do beznadziejnie stojącego Pawła, rzekł:

— Daruj pan, ale nie mam ochoty panu się przedstawiać. Zależy mi bardziej na mojej opinii niż na znajomości z byle kim. Wcaie nie chcę znać pana i żegnać.

Wypowiedziałszy to zdanie tonem pełnym pogardy, wytworny pan wyszedł, zamykając za sobą drzwi o wiele głośniejszy, niżby wypadało.

### Rozdział 2.

#### STARSZE PANIE Z PROWINCJI MAJĄ NIEKIEDY RACJĘ.

Tego dnia jeszcze wyłączono telefon. Nie było to zresztą trudne do przewidzenia, jest to bowiem aparat cichej na gotówkę i mający te jeszcze właściwości, że nie zasilany pieniężnie, głuchnie i traci mowę. Paweł nie mógł się nadziwić zimnemu okrucieństwu spółki telefonicznej.

— Miljony płyną do nich ze wszystkich stron — rozmyślał w zderzaniu — a mimo to dla głupich kilku złotych, panowie ci wyrzekli się mnie na zawsze; jak owce parszywą wyrzucili ze stada. Cóżby im szkodziło zostawić jeden nieopłacony aparat w spokoju? Nawet dwa, nawet trzy, ba, nawet trzy tysiące, przecież i tak pracują za nich automaty. Ale najgorsze jest to — uprzytomnił sobie ze smutkiem — że oprócz posiadania telefonu, istnieją jeszcze inne potrzeby w rodzaju obiadu, kolacji...

Gorzkie te rozmyślenia przerwał mocne stukanie do drzwi. — Fawnie jakiś drab z elektrowni — pomyślał z pasją, otwierając zatrząsk. W szparze drzwi czerwieniła czapka posłańca. Starowina przyniósł list.

Przebiegając drobne, znajome literki, Paweł spostrzegł, że papier drży w jego rękach. Przerwał nawet na chwilę czytanie i przyglądał się temu drżeniu.

— Czyżby aż takie zrobiło to na mnie wrażenie? — zdziwił się w duchu.

Zgłębiwszy treść listu, w zakłopotaniu przesunął ręką po czole i wyczuł na nim kropelki potu. — Dziwne rzeczy się ze mną dzieją — konstatawał w jakimś wewnętrznym popłochu. Niepewnym krokiem powędrował w kierunku okna. Ścisła, aż do przesady informacja mózgowa powiadomiła go o tem, że i kolana trzęsą się pod nim niemilosierdzie. — Ano cóż, miłość... — uświadomił sobie z rezygnacją — pocę się, łapy mi się trzęsą, to dziwne, że piękne to uczucie objawia się w tak niesmaczny sposób.

Przycisnął czoło do wilgotnej szyby i zapatrzył się w rude, marmcowe obłoki. Przeciagały nad miastem niesforne gromady, podobne do jego myśli beładnych i postrzępionych.

Trudno orzec, co złożyło się na ten wstrząs, którym poraził Pawła list, pisany rączką pani Urszuli. Nie orientując się w całokształcie sprawy, można by sądzić, że był to równie dobrze bolesny cios jak wielka, radosna nowina, silne objawy tych wzruszeń niewiele różnią się od siebie. Aby nie ulec złudzeniu, należy popełnić drobną niedyskrecję i przewertować kartoteki Pawła, oznaczone napisem: „Przeżycia miłosne”.

A właściwie wszystkiemu są winne starsze panie z prowincji, które mają w tych sprawach wyrobione zdanie i rozmawiając o miłości, powtarzają w kółko jedno i to samo: — Pan się od miłości nie ustrzeże, przyjdzie czas, że spotka pan w życiu „swój typ” i wtedy pan się zakocha. — Mieląc o tym fatalistycznym „Typie kobiecy”, którą każdy mężczyzna spotyka jeden, jedyny raz w życiu, panie, używające lorgnon, miały wiele racji. Okazało się, że pozorując puste ich głowy, ukrywały gdzieś na dnie prawdę. Paweł przekonał się o tem osobiście, ujrzałszy po raz pierwszą panią Urszulę.

Było to na dorocznym balu w uczelni Pawła, w gmachu studentów architektury. Ale czy aby napewno ujrzał ją tam po raz pierwszy?

Przeprowadzając analizę tych faktów, należy zachować więcej ostrożności, zwłaszcza w określaniu miejsca i czasu, są to momenty ważne i o błąd nietrudno. Rozważniej będzie zatem cofnąć się nieco wstecz i przejrzyć kartotekę „Miłosnych przeżyć” Pawła od początku.

A więc obiektem jego pierwszej i niewyznanej nikomu miłości była wykuta z marmuru Nereida. Tak, był to typowy objaw fetyszyzmu i tem dziwniejszy, że w dziecięcym wieku. Paweł liczył sobie wówczas lat jedenaście. Spędzając wakacje na wsi, przebisurmaniał chłopiec lata w parku, okalającym stare, rodzinne domostwo. Właśnie tam nad sadzawką, otoczona drzewami i do połowy zarosniętą bluszczem, wdziczyła się do Pawła owa Nereida. Zwinnie przegięta w pasie, schylała się nad wodą, trzymając wysiłującą się z jej dłoni rybę. Zgrabny nosk i zakreślone lekko ku górze kąciki ust, ożywiły jej twarz wyrazem jakiejś szelmowskiej przekory. Paweł pokochał Nereidę miłością młodego bohatera. Ujawnił to tem, że natychmiast uzbroidł się przeciwko Indharom. Grasowali podobno w okolicy Piotrkowa i mogli w każdej chwili uprowadzić Nereidę. Byłaby to strata, nie do powetowania.

Przeczuwając to, Paweł wystawał przy niej na czatach z łukiem na plecach i dzida w ręku. Raz zagabnięty przez ojca, czemu wciąż sterzy pod tą figurą, oblał się pensem po same uszy. Było to piękne i wznioste uczucie. Mogłoby ono długo oświetlać Pawła, kto wie może do późnej starości, gdyby nie przysłowiowa męska niestałość. Nereida nie miała nóg. Już od pasa ciągnęła się rybia łuska, zakończona ogonem. Paweł podpatrzył tę różnicę, rozchyliwszy bluszcz. Prawdopodobnie ten właśnie defekt sprawił, że natężenie uczucia z biegiem czasu, poczęło tracić na sile. Zaczęły się zaniedbywania ze strony Pawła, wstydliwe omijania, umyślnie przeoczenia — miłość stygła z dnia na dzień, aż wreszcie przyszła chwila, w której Paweł uświadomił sobie, że już Nereidy nie kocha. Po jakimś czasie począł się nawet wstydić swojej pierwszej miłości i usiłował sam przed sobą obrócić w żart cały incydent. Niezupełnie mu się to udało. Pozostał po niej pewien ślad, który się wyrzył w jego wyobraźni. Był to ów filuterny zarys marmurowego noska i zakreślone lekko ku górze kąciki ust. Szelmowski wyraz tego posążku utrwalił się w jego pamięci na zawsze.

Upłynęły dwa lata i Paweł zakochał się po raz wtóry, tym razem w istocie żywej. Była to jedna z córek ekonoma, pannica z szóstej gimnazjalnej, znacznie od niego starsza. Osoba ta obgryzała paznokcie, pisała swoje pamiętniki i miała wiele innych brzydkich przyzwyczaję. Górowała jednak nad Nereidą tem, że miała prawdziwe, patrzące oczy. Raz błkitne, to znów wpadające w zielonawy odcień, trochę skośne i mrugające długimi rzęsami. Któż zdoła zliczyć te piękne godziny, gdy wsiadając na lawce pod krzakiem jaśminu, Paweł wpatrywał się w te oczy długo i nieprzerwanie? Były naprawdę piękne i właściwie to jedno usprawiedliwiało istnienie tej pannicy, bowiem reszta jej postaci, była zdecydowanie brzydka i to bez żadnych szans wyładnienia.

To wpłynęło zapewne na osłabienie miłości Pawła, mimo wyraźnie idealistycznych cech tego uczucia. Urwało się ono nagle z chwilą wyjazdu pannicy na pensję. Pozostała jedyna, trwała pamiętka; wrażenie zielonkawych, nieco „skośnych” oczu, okolonych długimi rzęsami. Mrugały do niego czasem z wyobraźni.

Gdy skończył lat czternaście, rozpostarło się przed nim olbrzymie pole do popisu. Zaczynały odzywać się zmysły. Paweł coraz baczniej wsłuchiwał się w ich głosy. Spoczątku były cichutkie, niby popiskiwanie kurcząt, usiłujących wykuć się z jaja. Z czasem nabrały mocy i rozlegały się coraz wyraźniej. W lot chwytając ich treść, Paweł z wznoszącym zainteresowaniem przypatrywał się młodej pokojówce, Andzi. Zwłaszcza lubił doglądać, czy aby dobrze myje podłogi. Zataczając ścierką kręgi po podłodze, schylała się raz po raz, przyczem odważnie podkaszana spódnica, odsłaniała wysoko jej nogi, dziewczęco smukłe i kształtne w kolana. Małe i zgrabne stopy były wymodelowane antycznie i na wesolo. Andzię nie stało było na modne obuwie, przeto chadzała